

Dariusz Gawin: Przekleństwo 1709 roku

Jesteśmy zatem zawieszeni pomiędzy pierwszą i drugą ligą europejską i to jest trwała sytuacja, a zarazem trwały nasz kłopot



Jesteśmy zawieszeni pomiędzy pierwszą i drugą ligą europejską i to jest trwała sytuacja, a zarazem trwały nasz kłopot

Czy nie za rzadko zastanawiamy się nad polskim usytuowaniem w czasie i przestrzeni? Tym specyficznym miejscem na mapie Europy, które jest tłem dyskusji na temat powstań, wojen, „Solidarności” i pytań o polską tożsamość? Być może zachęty do takich rozważań na temat naszego poczucia trwałości własnej pozycji w Europie winny dostarczać nam słowa naszego hymnu narodowego. Przecież śpiewamy w nim, że „jeszcze Polska nie zginęła, kiedy my żyjemy”, a później:

„przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę, będziemy Polakami”. W tych kilku słowach zawiera się kluczowa dla myśli republikańskiej, polityczna koncepcja narodu. Polakami jesteśmy, o ile mamy państwo, które chroni interesy wspólnoty politycznej, wspólnoty, w ramach której możemy funkcjonować jako Polacy.

W polskiej tożsamości istnieje zatem od ponad dwustu lat milcząco przyjmowane założenie, iż trwałym elementem naszej sytuacji, naszego losu, jest całość okoliczności historycznych, geopolitycznych i kulturowych, które można określić jako „prześwit ontologiczny”. Chodzi o to, że Polska jest, ale może jej nie być, że może ona „zginąć”, przestać istnieć. Na pozór wydaje się to przesadą. Gdy jednak przyjrzymy się bliżej historii narodu w okresie, który rozpoczął się rzezią Pragi, a który sto pięćdziesiąt lat później znalazł swoją kulminację w Katyniu i Powstaniu Warszawskim, nie sposób oprzeć się wrażeniu, że właśnie taki był motyw przewodni przeważającej części dziejów wieku XIX i XX. Czym bowiem innym było Powstanie Warszawskie, jak nie właśnie najbardziej dramatycznym potwierdzeniem wagi problemu istnienia i nieistnienia w polskiej historii?

Powstanie Warszawskie przychodzi w tym kontekście na myśl, bo to nie było tylko kolejne przegrane wystąpienie zbrojne Polaków. Jako jedyna zbiorowość spośród wszystkich europejskich narodów zbliżyliśmy się wówczas do granicy, którą w czasie ostatniej wojny przekroczyli tylko Żydzi. Warszawa to przypadek miasta starożytnego, które jak Melos czy Kartagina zostało unicestwione w wymiarze politycznym, ludzkim i fizycznym. Osobisty rozkaz Hitlera o zburzeniu Warszawy pozostaje bez analogii w najnowszej historii i odsyła nas do zdarzeń z historii starożytnej. W tym sensie powstańcza Warszawa to wspólnota

polityczna – wspólnota obywatelska, posiadająca również organicznie związany z wymiarem obywatelskim wymiar militarny i polityczny. W Warszawie oprócz Armii Krajowej ujawniły się bowiem również cywilne władze Państwa Podziemnego, wsparte spontanicznie przez setki tysięcy mieszkańców stolicy. W granicach zakreślonych przez powstańcze barykady istniało *de facto* wolne państwo polskie, wolna III Rzeczpospolita, bo tak przecież właśnie nazywalibyśmy twór, który objawił się 1 sierpnia w stolicy, gdyby historia potoczyła się inaczej.

Zbrodnia Warszawy polegała na tym, że – jak mówił w przemówieniu radiowym transmitowanym ze stolicy delegat rządu na kraj, Jan Stanisław Jankowski „Soból” – „Chcieliśmy być wolni i wolność sobie samym zawdzięczać”. Zetknięcie idei wolności z dwoma totalitaryzmami musiało doprowadzić do eksplozji, w której Warszawa nie tyle przegrała powstanie, ile po prostu przestała istnieć. Los Warszawy w 1944 roku nie tłumaczy się tylko naszym położeniem geopolitycznym. Nie chodzi tutaj wyłącznie o położenie kraju usytuowanego pomiędzy Niemcami i Rosją, choć naturalnie ten aspekt naszej sytuacji cały czas jest istotny. Chodzi przede wszystkim o to, że Polska w czasie ostatnich dwóch-trzech stuleci leżała na przecięciu potężnych wektorów działających w skali *powszechnodziejowej*. W tej perspektywie Niemcy i Rosja to nie są tylko nazwy dwóch mocarstw, które wpłynęły na kształt geopolitycznego porządku świata w XX wieku. To są pewne skrótowe nazwy na określenie dwóch wielkich kultur europejskich, w których zrodziły się dwa najstraszliwsze totalitaryzmy najnowszej historii.

Kiedy zatem przywołujemy poszczególne epizody historycznego dramatu, który rozgrywał się tutaj w ciągu ostatnich ponad dwustu lat, nie chodzi nam o kolejny lament nad pasmem nieszczęść, tragedii i

krzywd, które dotknęły ludzi żyjących gdzieś na przecięciu dziejowych wektorów kreślonych

w Petersburgu, Berlinie czy Moskwie. Chodzi o trzeźwe uchwycenie skali tych wydarzeń, o prostą konstatację faktu, iż ten dziejowy dramat narastał i działał się właśnie tutaj, w tej części Europy, na której rozpościerała się niegdyś nasza I Rzeczpospolita. Bo narastał on przecież od wieku XVIII, a kulminację znalazł właśnie w wieku XX, w epoce Katynia i Auschwitz.

„Gdzie szeregować Polaków?”

W sierpniu 1944 r., w Paryżu, Andrzej Bobkowski z bezsilną rozpaczą komentował w swoich *Szkicach piórkiem* wiadomości nadchodzące z Warszawy – w tym samym czasie, gdy stolica Francji czekała na zbliżające się czołgi amerykańskie, polska stolica znalazła się w śmiertelnym uścisku pomiędzy Hitlerem i Stalinem. Tak streszczał sens tej dziejowej pułapki: „Rosja, jak zawsze, nie chce tej Polski i takiej Polski, jaką ona sama chciałaby być. Niemcy i Rosjanie unicestwiają TO SAMO, są zgodni w unicestwieniu TEGO SAMEGO. Niemcy na pożegnanie, Rosjanie na powitanie”[1] (podkreślenie w oryginale – DG). Właśnie w tym jednym zdaniu kumuluje się cały sens nigdy do końca niewyartykułowanego problemu – jest to tak oczywiste dla nas, a przecież jednocześnie nie napisane wprost. TO SAMO – czyli stale powtarzająca się sytuacja graniczna, w której z całą mocą, jak w złym śnie widać, że los Polski znajduje się w jakimś punkcie, w którym możliwe jest tylko „albo-albo”, nie zwycięstwo lub klęska, lecz istnienie lub nieistnienie, w punkcie, w którym widać jak polski los migocze i chwieje się pod wpływem dynamicznego ruchu dziejów.

Może ktoś powiedzieć, że sytuacja „prześwitu ontologicznego” jest typowa dla małych narodów, szczególnie tych żyjących w naszej części Europy. Głosy takie często słyhać w naszych dyskusjach. Za każdym razem, gdy dyskusja dotyczy obrony naszych interesów, za wzór realizmu stawia się nam Czechów, pisze się o zapobiegliwości Bałtów czy o słowackiej roztropności, za sprawą której kraj ten wprowadził euro wcześniej od nas. Małych narodów nie stać na gesty, powstania i bohaterszczyznę, nie stać na obronę „pierwiastka”, prawdziwe bezpieczeństwo energetyczne czy silną armię. Małe narody muszą być rozsądne, muszą ćwiczyć trudną sztukę mimikry, aby omijał je wzrok drapieżników historii. Przymuszone zaś do kapitulacji, zawsze potrafią obronić „substancję”, nazywając to koniecznym kompromisem lub sławią zalety posiadania ciepłej wody w kranie, nazywając to roztropnym liberalizmem.

Problem w tym, że Polacy nie są małym narodem. I nie chodzi tutaj o skalę naszych ambicji czy potrzeb, ale o fakty. Polskie przekleństwo polega na tym, że Polacy znajdują się gdzieś pośrodku pomiędzy wielkimi a małymi narodami. I nigdy nie będą tacy, jak Czesi, Belgowie czy Litwini. Przywołajmy politycznie niepoprawne dzisiaj pojęcie z dyskursu XIX-cznej historiografii – pojęcie narodu historycznego. Polacy byli i pozostają takim właśnie narodem, narodem, który przez setki lat miał własne państwo, własną wysoką kulturę, tworzoną już od XVI wieku w języku narodowym, własne instytucje świeckie i kościelne, własne życie obywatelskie. To właśnie nas odróżnia nie tylko od Słowaków czy Rumunów, lecz także od Czechów czy Litwinów. Mirosław Hroch, czeski wybitny historyk, w pracy *Małe narody Europy* przedstawia rzetelną typologię „małych narodów”, dając pogłębiony przegląd takich przypadków, jak Baskowie, Białorusini, Bretończycy, Bułgarzy, Chorwaci, Czesi, Estończycy, Finowie, Flamandowie,

Galisjanie, Grecy, Irlandczycy, Katalończycy, Litwini, Łotysze, Macedończycy, Norwedzy, Serbowie, Serbowie Łużyccy, Słowacy, Ukraińcy, Węgrzy i Walińczycy. Na koniec rozdziału omawiającego podstawowe założenia pracy, umieszcza jednocześnie podrozdział „Ponad poziomem małego narodu albo: gdzie zaszeregować Polaków?”[2]. Zwraca się przy tym do polskiego czytelnika, który – jak się domyśla – zadaje sobie pytanie, dlaczego w tym towarzystwie zabrakło Polaków, których walka z uciskiem narodowym w XIX wieku stanowiła wzorcowy przykład ruchu narodowego. Hroch udziela prostej odpowiedzi – przypadek polski nie pasuje do zbudowanej przez niego typologii małych narodów, ponieważ Polacy byli narodem państwowym, posiadali własną kulturę wysoką w języku narodowym oraz uformowaną elitę polityczną i narodową. Chociaż zatem – z powodu utraty państwa i konieczności walki o nie – znaleźli się w podobnej sytuacji, co wymienione wcześniej małe europejskie narody, to jednak ich położenie, jak zauważa Hroch, przypomina raczej położenie takich dużych narodów, jak Włosi czy Niemcy. Uwaga Hrocha jest o tyle słuszna, że Polacy mieli własne państwo nieprzerwanie od Mieszka I do III rozbioru (a własną armię regularną nawet trochę dłużej, bo od Mieszka do upadku powstania listopadowego), a chociaż je utracili, to i tak przetrwała wspólnota polityczna Polaków – poczucie wspólnej tożsamości kulturowej, wspólnych interesów politycznych, świadomość solidarnego działania w nowych warunkach.

A jednak tylko nam przydarzyło się nieszczęście rozbiorów. Jako jedyny naród historyczny straciliśmy państwo – nawet Hiszpania czy Turcja, inne zdeponowane mocarstwa nowożytności, które nie odnalazły się w nowej rzeczywistości *Realpolitik* europejskiej wieku oświecenia, nie przypłaciły okresu politycznego upadku utratą formalnej niepodległości (inna to kwestia, czy gdyby Hiszpania zamiast Atlantyku i Morza Śródziemnego miała za sąsiadów Prusy i Rosję, lepiej

poradziłaby sobie od Polski). Pomijam tutaj kwestię dyskusji na temat przyczyn tego wydarzenia. Nie chodzi mi także o to, że rozbiory były krzywdą, niesprawiedliwością wołającą o pomstę do nieba – bo były, ale cóż to znaczy w logice wielkiej polityki. W przypadku rozbiorów chodzi raczej o trzeźwą ocenę tego wydarzenia, jako wydarzenia bez precedensu w nowożytnej historii Europy. Otóż to – bez precedensu. Zdarzały się bowiem od zawsze w Europie podboje i aneksje, granice zmieniano też przez szczęśliwe koligacje rodzinne – w tej kategorii nikt nie mógł równać się z domem Habsburgów. Jednak tym razem nie dzielono między siebie „ludności” znajdującej się we władaniu jakiejś historycznej rodziny książęcej, która politycznie splajtowała, lecz dosłownie – bo taka przecież była litera konwencji rozbiorowych po 1795 r. – unicestwiano politycznie naród. To nie była krzywda – to był skandal, to była drastyczna *nieciągłość*, której cofnięcie musiało stać się jednym z najważniejszych motywów polityki europejskiej na przyszłość. I tak trzeba postrzegać rozbiory: jako złowrogą zapowiedź nadciągającej przyszłości. Tak właśnie sprawę rozbiorów widziały niektóre najwybitniejsze umysły dziewiętnastowiecznej Europy. Przytoczmy choćby opinię Lorda Actona: „Aż dotąd żaden naród nie został pozbawiony bytu politycznego przez mocarstwa chrześcijańskie, a przy całym lekceważeniu uczuć i interesów narodowych starano się jednak maskować niesprawiedliwość fałszywą przykrywką jakichś prawnych chwytów. Ale rozbiór Polski był aktem bezwstydnego przemocy popełnionym nie tylko wbrew powszechnym odczuciom, ale wbrew prawu powszechnemu. Pierwszy to raz historia nowożytna ujrzała obalenie wielkiego państwa i podział żyjącego w jego granicach narodu między jego wrogów”[3].

„Chory człowiek” kontynentu

Mocarstwa dokonujące rozbiorów posługiwały się argumentem „równowagi”, balansowania interesów[4]. Tkwił w tym zarodek postrzegania każdorazowej, odrodzonej Polski jako elementu „nierównowagi”, elementu dysfunkcyjnego. Podkreślmy to raz jeszcze – w 1795 r. Berlin, Petersburg i Wiedeń wyobrażały sobie, że Polaków i Polski już więcej nie będzie. Po prostu. Nieodwołalnie i na zawsze. Kolejne dwieście lat to uporczywa walka z tym skandalicznym błędem w ocenie realnej zdolności do istnienia Polski. Bo spośród narodów historycznych tylko Polsce to się zdarzyło w czasach nowożytnych, że straciła państwo i byt niepodległy, a w pewnych momentach swojej historii nawet mogła przestać istnieć fizycznie – a jednak nie tylko przetrwała, lecz odradzała się ciągle na nowo. To nie jest dowód na wzruszające umiłowanie Ojczyzny. To dowód na to, że ci, którzy sądzili, iż lepiej byłoby dla nich, żeby Polski nie było, mylili się w sposób skandaliczny; że byli ślepi na fakty i głusi na argumenty i choć zawsze potrafili swoją wolę uzasadnić w jakiś sposób, który w danym momencie historii uznawano za bardzo racjonalny, filozoficzny czy naukowy, to koniec końców okazywali się pogrążeni w odmętach tępego irracjonalizmu, pozostającego na usługach jakiejś tyranii.

Jesteśmy zatem zawieszeni pomiędzy pierwszą i drugą ligą europejską i to jest trwała sytuacja, a zarazem trwały nasz kłopot. Wynika on z faktu, że nie istnieliśmy jako państwo przez cały XIX wiek, kiedy w Europie ustalały się hierarchie w każdej dziedzinie – politycznej, militarnej, kulturowej. Pierwsze dwa wymiary historycznej rzeczywistości są oczywiste. Zastanówmy się nad wymiarem trzecim, biorąc pod uwagę kwestię nauki i jej zaplecza. Przez cały wiek XIX powstawały pewne kanony pisania o historii Europy, w których przydzielano trwałe role – jedne narody były swoistą awangardą historii, inne ponosiły zasłużone (w oczach zwycięzców) porażki.

Budowano pojęcia badawcze, stawiano hipotezy, tworzone szkoły historyczne i socjologiczne, powstawały i rozwijały się tradycje intelektualne. W całym tym wielkim procesie byliśmy obecni w niewielkim wymiarze. Jeśli w ogóle jakaś wiedza na temat Europy Środkowej zdobywała sobie trwałe miejsce w świadomości wykształconych Europejczyków, to była to wiedza formowana za pośrednictwem niemieckich, austriackich czy rosyjskich uczonych. To oni mieli katedry, uniwersytety, instytucje, które mogły być instytucjonalnymi partnerami dla badaczy ze świata. W pokoleniu romantyków jeszcze można było liczyć na wpływ błyskotliwych jednostek – wystarczy przypomnieć prelekcje paryskie Mickiewicza. W drugiej połowie XIX wieku sytuacja stała się jednak już dramatyczna – po wojnie francusko-pruskiej 1870 r. zmienia się nastawienie opinii publicznej na zachodzie do sprawy polskiej. Dzieje się tak przede wszystkim we Francji, która widzi w Rosji głównego potencjalnego sojusznika w nieuchronnym przyszłym starciu ze zjednoczonymi przez Bismarcka Niemcami. II RP pod tym względem dopiero zaczęła odrabiać straty, lecz niestety jej praca została przerwana – przez kolejny nawrót „TEGO SAMEGO”, o którym pisał Bobkowski. Okres PRL z przyczyn oczywistych także nie poprawił sytuacji w tym zakresie. Weźmy pierwszy lepszy przykład z brzegu – przez dziesięciolecia myłono Powstanie Warszawskie z powstaniem w getcie warszawskim, ponieważ państwo polskie, zamiast łożyć środki na rozwój historiografii, która mogłaby przekazywać wiedzę o walce stolicy w 1944 r. na cały świat – prześladowało policyjnymi metodami pamięć o tych wydarzeniach.

Po 1989 r. wysiłki w tej sferze idą z oporami – albo jesteśmy spychani do jednego rzędu z krajami o wiele mniejszymi, albo podejmujemy grę, żeby dostać się do tego klubu kilku państw, które współtworzą kierunek Europy. A wielcy unijnej wspólnoty są do Polski w roli jednego z

liderów Europy po prostu nieprzyzwyczajeni. I Polska dostała czas – nie wiadomo jak długi – na przekonanie wielkich europejskich graczy, że mamy prawo aspirować do roli ważnego, silnego kraju w tej części kontynentu. Ponieważ jednak przez ostatnie stulecia Polska jako podmiot polityczny decydujący sam o sobie, samodzielnie określający swoje interesy i samodzielnie też ich broniący, istniała w sumie tylko czterdzieści lat, zachodnie wielkie narody mają naturalną i – przynajmniej – całkiem zrozumiałą z historycznej perspektywy skłonność do traktowania Polski jako elementu dysfunkcyjnego, niepasującego do porządku europejskiego, jeśli sam chce negocjować zasady swojego w nim udziału. Tak było już od końca XVII wieku, gdy ustalał się nowy ład Europy, z którego wypadały takie dawne potęgi, jak Hiszpania, Turcja, Holandia czy Polska właśnie, a na scenę wchodziły Prusy i Rosja. Polska wtedy – na długo przed rozbiorami – stała się, niczym Turcja, „chorym człowiekiem” kontynentu, który „stał nierządem”, był synonimem anachronicznego ustroju i byle jakiej cywilizacji. Z pewnością wad było wiele, ale też sporo musieli się napracować różni sprzedajni a błyskotliwi filozofowie wieku świateł w rodzaju Woltera, żeby zbudować klimat intelektualny, w którym polityczna zbrodnia rozbiorów wydawała się tylko beznamiętą egzekucją wyroku wydanego już wcześniej przez historię.

Tak samo było po pierwszej wojnie światowej, gdy dobrze znany przez kilka pokoleń koncert europejskich mocarstw rozpadł się na kakofoniczny jazgot nowej Europy, zbudowanej w oparciu o Wilsonowską zasadę samostanowienia narodów. W powodzi sezonowych państw umieszczano także i to nad Wisłą, którego granice przesadnie rozciągnięto z krzywdą dla Niemców, Ukraińców, Litwinów i Białorusinów (tak jakby Polska mogła być wówczas Polską tylko w Warszawie, Krakowie i Radomiu). Ci nieznośni Polacy, którzy sami tyle opowiadali o swoich krzywdach, a którzy przecież tak bardzo krzywdzili

wszystkie mniejszości dookoła... – ileż razy ten ton słycać było przed drugą wojną światową. Tak, Europa funkcjonowałaby niczym dobrze naoliwiony mechanizm, gdyby nie kilka źle działających elementów – sugerowano.

Tak samo jest i teraz, po 1989 r., gdy do dobrze znanego projektu europejskiego dołączyły państwa zza żelaznej kurtyny, w tym naczelnym *trouble maker* tego grona – Polska, która nieustannie czegoś chce, okazuje niewdzięczność i wszystkich szantażuje swoją „historyczną wrażliwością” wynikającą z dawnych krzywd. Wrażliwi, ba! – nawet przewrażliwieni na pewno jesteśmy, ale to nie ma nic do rzeczy, gdy na trzeźwo ocenimy rozmiary naszego kraju, liczbę ludności, wielkość rynku wewnętrznego, skalę gospodarki. Jeśli tak spojrzeć na całą sprawę, to widać, że Polska nie ma „wrażliwości” – Polska ma przede wszystkim interesy wynikające z jej skali oraz jej usytuowania. Interesy, które powinny być brane pod uwagę przez inne europejskie, duże kraje, decydujące o polityce wewnątrz Unii. Bo o politykę tu przede wszystkim chodzi, o to, w jakim kierunku będzie ewoluował projekt europejski, jak będą płynąć w jego granicach strumienie zobowiązań i korzyści, jak będzie budowane wspólne bezpieczeństwo i wspólny rozwój. Trzeba przy tym pamiętać, że uprawianie polityki to zajęcie zarezerwowane w ramach Unii dla najsilniejszych graczy – dla owych kilku państw, tworzących nieformalny klub liderów Unii, swoisty – jak czasem określa się to grono – „dyrektoriat”. To oni *przewodzą* europejskiemu projektowi, inni – mniejsi i słabsi raczej *podążają* w kierunku wytyczonym przez ów „dyrektoriat”. W tym sensie polityka w Europie zarezerwowana jest dla najsilniejszych; reszcie pozostaje zarządzanie, dopasowywanie się do realiów, zażarta konkurencja, aby odnieść jak najwięcej korzyści. Prawda, takie reguły są o niebo lepsze od tych, jakie funkcjonowały w wieku XVIII, XIX czy przez większość XX. Silniejsi nie grożą słabszym ani najazdem, ani okupacją czy

terytorialnymi podbojami. Czy znaczy to jednak, że polityka przestała już być obszarem rywalizacji, sporu, a nawet konfliktu? Powtórzmy – nie ma nic nienaturalnego w fakcie, że Polskę traktuje się jako element dysfunkcyjny tej sytuacji – przemawia za tym ciśnienie ostatnich dwóch stuleci, w trakcie których istnienie podmiotowej Polski było raczej wyjątkiem niż regułą. Chodzi o to, aby ten stan zmienić, aby nasi zachodni partnerzy przyzwyczaili się do myśli, że Polska powróciła i że ten fakt wymaga nie tyle naszego dopasowania do nich, ile dopasowania wzajemnego i wzajemnego wysiłku.

Niestety wielu ludzi w Polsce nie jest przyzwyczajonych myśleć o Polsce w taki sposób. Znaczna część opiniotwórczych elit wyobraża sobie Polskę jako powiększone nieco Królestwo Kongresowe, kraj wielkości mniej więcej Czech lub Węgier, dla którego już samo zaproszenie do europejskiego klubu jest historyczną szansą. Ciągłe można bowiem spotkać u nas nie tylko publicystów, lecz także polityków, którzy każdą pomoc i każde dobrowolne ustępstwo Berlina czy Paryża (dobrowolne – czyli niebędące wynikiem negocjacji) przyjmują ze ściśniętym ze wzruszenia gardłem, jako dowód łaskawości i pamięci. Tak jakby rozszerzenie Unii nie było dobrym interesem dla obu stron. Polska może – to prawda – zdefiniować samą siebie jako kraj mały, jako kraj pozbawiony aspiracji do uczestnictwa w europejskim „dyrektoriacie”, może „podążać”, a nie „przewodzić” w ramach europejskiej rodziny narodów. Co więcej – może zostać za taki wybór również wynagrodzona. Wielkość projektu europejskiego polega na tym, że także „podążanie” za silniejszymi jest opłacalne. Chodzi jednak o skalę korzyści. Lepiej bowiem stanąć do rywalizacji o setki miliardów niż o dziesiątki, lepiej być „producentem” niż „odbiorcą” europejskiego projektu. Poza tym pozostaje jeszcze przedziwny polski niepokój, który

każe pytać o bezpieczeństwo, o polskie usytuowanie w czasie i przestrzeni, za sprawą którego co jakiś czas wydarzają się tutaj rzeczy przekreślające wszelkie rachuby i racjonalne plany.

Przełomowy rok 1709

Powróćmy do problemu usytuowania Polski w czasie i przestrzeni. „Prześwit ontologiczny”, o którym wcześniej była mowa, nie sprowadza się w przypadku Polski do problemu istnienia czy posiadania własnego państwa, jak w przypadku małych narodów. Dochodzi tutaj czynnik dodatkowy, niewystępujący w przypadku Słowaków czy Łotyszy. Chodzi mianowicie o wyzwanie podmiotowości. Dla małego narodu istnienie jest już sukcesem historycznym, dla dużego – jak w przypadku Polaków – to dopiero pierwszy krok. Czesi czy Litwini mogli stracić język i własną kulturę w zasadzie niepostrzeżenie, w ich przypadku odrodzenie narodowe przyszło niemalże w ostatniej chwili; w naszym przypadku brak państwa nie był zagrożeniem dla śmierci języka i kultury, lecz przeszkodą w ich nieskrępowanym rozwoju – przecież Polaków trzeba by po prostu wszystkich pozabijać, żeby w Wigilię nie śpiewali kolęd. Każdy z trzech zaborców dostał tylko fragment całości, a i tak nawet te wielkie imperia nie były w stanie strawić zdobyczy przez ponad sto lat. Prawda, w czasie ostatniej wojny Polacy otarli się o próg zagłady, ale przecież go nie przekroczyli, o czym już wcześniej była mowa. Owo ontologiczne migotanie istnienia i nieistnienia w przypadku Polski dotyczy zatem przede wszystkim polityczności polskiej, tego, że Polska może być podmiotem, lecz częściej bywa przedmiotem w szerszej skali europejskiej historii. Usytuowanie naszego kraju w czasie i przestrzeni jest zaś takie, że przecinają się tutaj nie tylko interesy mocarstw, lecz także – nazwijmy to tak – trudno uchwytny, lecz stale wyczuwalny wektor potężnych sił, kształtujących

dramat dziejowy ostatnich stuleci. Aby radzić sobie w takim położeniu, nie wystarczy własne państwo, własna niepodległość – trzeba czegoś więcej: trzeba właśnie podmiotowości. Rozwińmy to pojęcie.

W polskim myśleniu o państwie i nowoczesności na ogół posługujemy się cezurą rozbiorów. Jest to perspektywa zbyt wąska. Nie pozwala ona dostrzec tego, iż karta dziejowa, którą obecne pokolenie Polaków odwraca, nie zaczęła się w czasie rozbiorów, lecz w czasie wojny północnej. I momentem historycznym, do którego powinniśmy się odwoływać, jako do groźnego *memento*, nie jest rok 1795, lecz 1709. Chodzi tutaj o bitwę pod Połtawą, po wygraniu której Rosja trwale zdominowała Polskę i cały region Europy Środkowo-Wschodniej. To dlatego Połtawa stanowi symboliczną cezurę w historii ostatnich trzystu lat. Doskonale rozumieją to Rosjanie. Władimir Putin sugerował ponoć Ukraińcom zorganizowanie wspólnych obchodów trzechsetlecia. Połtawa leży bowiem na terenie dzisiejszej Ukrainy, jednak Juszczenko wolał na szczęście obchody bitwy pod Konotopem z 1659 r. – starcia, w którym hetman kozacki Iwan Wyhowski, wspomagany przez wojska polskie i tatarskie, rozgromił armię rosyjską dowodzoną przez księcia Trubeckiego. Rosjanie już uczynili świętem narodowym rocznicę wygnania Polaków z Kremla w 1612 r., jak widać nie zapomnieli zwycięstwa odniesionego przez Piotra Wielkiego nad Karolem XII. W tej rocznicy nie chodzi jednak o Szwedów, choć to oni przegrali w 1709 r. Stawką w tej grze jest to, kto ułoży politycznie i cywilizacyjnie cały ten wielki obszar Europy, który rozpościera się pomiędzy Polską a Rosją.

Dla naszego tematu data 1709 jest istotna dlatego, że symbolizuje moment utraty przez Polskę realnej podmiotowości politycznej. Używając tradycyjnego języka polityczności, można sens tego

wydarzenia określić w ten sposób, iż Polska w wyniku wojny północnej utraciła tradycyjnie rozumianą suwerenność. Po wojnie północnej mieliśmy wprawdzie państwo formalnie niepodległe, nie mieliśmy jednak suwerenności, nie byliśmy podmiotem politycznym, staliśmy się przedmiotem w grze prowadzonej przez obcych. Próby odzyskania tej podmiotowości – dzieło pokolenia Sejmu Wielkiego i Konstytucji 3 maja, zakończyły się niepowodzeniem, czego konsekwencją był ostatni rozbiór w 1795 r. i utrata formalnej niepodległości. Warto zatem zapamiętać tę sekwencję: Polacy najpierw utracili podmiotowość, a potem dopiero niepodległość. Dopiero gdy w taki sposób widzimy dynamikę wydarzeń XVIII wieku, we właściwym kontekście ukazuje nam się pytanie o podmiotowość dzisiaj: w 1989 r. odzyskaliśmy bowiem niepodległość, ale czy wraz z niepodległością odzyskaliśmy podmiotowość?

Zanim spróbujemy odpowiedzieć na to pytanie, musimy poświęcić nieco uwagi wydarzeniom sprzed trzystu lat. Sama bitwa pod Połtawą i wojna północna to okres historyczny, który nie zadomowił się jakoś szczególnie w polskiej pamięci. To jednak tam właśnie tkwią korzenie narodowej klęski. Wyliczmy symboliczne daty z końca XVII i początku XVIII wieku, w których streszcza się zapowiedź ponurej przyszłości. 1696 r. – śmierć Sobieskiego, po której następuje długie, pełne chaosu i intryg bezkrólewie, zakończone wyniesieniem na tron Augusta II Mocnego w 1697 r. Jego kontrkandydat, Francuz, książę Conti dostał wprawdzie więcej głosów, ale Sas uzyskał poparcie Piotra Wielkiego. Z carem Rosji zaczął też paktować przeciwko Szwecji, snując plany zdobycia dla Wettinów – jako dziedzicznego lenna – Inflant. Do antyszwedzkiej koalicji weszła Dania, Saksonia i Rosja. Rzeczpospolita formalnie miała pozostać neutralna. To założenie rychło legło w gruzach, gdy młody Karol XII okazał się, ku zaskoczeniu wszystkich, znakomitym wodzem. Pokonał Duńczyków, rozbił Rosjan pod Narwą

(1700). Wkrótce wkroczył do – cały czas formalnie neutralnej – Rzeczypospolitej, zajmując Warszawę. Polska, choć oficjalnie nie była stroną w wojnie, stała się teatrem działań wojennych, cierpiąc zniszczenia, gwałty i rekwizycje, rujnujące i tak przecież zrujnowany po serii wojen z drugiej połowy XVII wieku, kraj. W 1708 r. wielka 40-tysięczna armia szwedzka rusza na Rosję. 8 lipca 1709 r. pod Połtawą zostaje ona całkowicie rozgromiona przez wojska rosyjskie pod wodzą Piotra Wielkiego i przestaje praktycznie istnieć. To jest punkt zwrotny całego konfliktu.

Wojna wprawdzie toczy się do roku 1721, kiedy to zostaje zawarty pokój w Nystad, jednak pokój ten przypieczętowanie tylko faktyczną hegemonię Rosji w rejonie Bałtyku i w Rzeczypospolitej.

Od tej pory Rzeczypospolita – formalnie niepodległa, posiadająca króla, sejm i senat, wojsko i monetę, staje się satelitą Rosji, w którym coraz większą rolę zaczynają odgrywać też intrygi pruskie (austriackie nie były nowością – dom Rakuski intrygował tu już od stuleci). Dwa wydarzenia, które miały miejsce w cieniu wojny północnej, uzyskują w tej perspektywie wyjątkową wymowę – w 1701 r., korzystając z chaosu wywołanego wojną, elektor brandenburski Fryderyk III koronuje się w Królewcu na króla jako Fryderyk I (dla zachowania pozorów jako „król w Prusach” a nie „król Prus”, bowiem jest to od 1466 r. oficjalny tytuł króla Polski), a w 1703 r. rozpoczyna się, na własnie zdobytym dla Rosji wybrzeżu Bałtyku, budowa Twierdzy Pietropawłowskiej, moment, który uznaje się za początek historii Petersburga (w twierdzy Pietropawłowskiej będzie więzionych w przyszłości wielu Polaków, m.in. Tadeusz Kościuszko). Dalsze dzieje – choćby narzucenie przez Petersburg Augusta III na tron polski w 1733 r. wbrew woli większości, która znów wybrała Leszczyńskiego, antyrosyjska konfederacja

dzikowska z 1734 r., związana w jego obronie (w jakiejś mierze prefiguracja konfederacji barskiej), rządy ambasadorów rosyjskich, przemarsze wojsk w czasie wojny siedmioletniej (choć oficjalnie Rzeczpospolita była neutralna), praktycznie stała obecność wojsk rosyjskich w kraju, wybór osobistego faworyta carycy Katarzyny, Poniatowskiego, na króla – układają się w logiczny ciąg wydarzeń, prowadzących do nieuchronnego finału roku 1795.

O odzyskanie podmiotowości

Rozbiory były traumą, która ukształtowała wszystkie następne pokolenia Polaków. Zarówno zwolennicy walki zbrojnej, jak i ci, którzy opowiadali się po stronie pokojowych metod pracy na rzecz narodowej sprawy, działali w imię jednego celu: odzyskania niepodległości. Podobnie myślano po 1944 r. Komunizm był w tej perspektywie tylko kolejną wariacją na dobrze znany temat – obcej dominacji. Polska Ludowa nie była prawdziwą, wolną Polską. I próbowano sobie z tym radzić poprzez reformy, pracę organiczną, poprzez propozycje odnowy duchowej i cywilizacyjnej, jakie złożyła pod koniec XIX wieku narodowa demokracja. Nie ma w okresie po 1772 r. podziału na pracę organiczną i walkę zbrojną, podziału na romantyków i pozytywistów, jak uparcie uczą w szkołach. Te podziały zależały od okoliczności – patriotyzm był w obu przypadkach równie dobry, tak jak ten sam pozostawał cel. Różniono się w doborze środków. Każde jednak pokolenie – począwszy od pokolenia Konarskiego, Staszica, Kościuszki i Dąbrowskiego, przez wielkie pokolenie Piłsudskiego i Dmowskiego – spierało się o te sprawy gwałtownie, bo też wielka była stawka tych sporów: jak na powrót odzyskać niepodległy byt państwowy i jak przywrócić Polsce podmiotową rolę w europejskiej polityce?

Charakterystyczną cechą tych wewnętrznych debat był spór o modernizację. To jest nić przewodnia polskich dyskusji ostatnich bez mała trzystu lat. W początkach tego sporu widać istotną, pozorną sprzeczność – Polska utraciła niepodległość, ponieważ nie była krajem nowoczesnym, nie była zdolna do modernizacji i zarazem Polska utraciła niepodległość, ponieważ okazała się krajem zdolnym do modernizacji o własnych siłach. Z jednej bowiem strony kilkadziesiąt lat bezustannych wojen w wieku XVII, toczonych na własnym terytorium, zrujnowało kraj i przygotowało grunt pod apatię i cynizm czasów saskich. Trzy pokolenia bez ustanku walczyły z Kozakami, Moskwą, Szwedami, wojskami siedmiogrodzkimi, Tatarami, Turkami. Sam fakt, że Rzeczpospolita przetrwała te wszystkie wojny jest na dobrą sprawę cudem. Ale przetrwała je w stanie bardzo złym, jak uczestnik maratonu pływackiego, który przeliczył się z siłami i omal nie utonął przy brzegu. Potem – gdy drapieżni sąsiedzi zaczęli się gwałtownie modernizować, w początkach XVIII wieku, nie było już sił ani ludzi o dostatecznie szerokich horyzontach, którzy potrafiliby kraj unowocześnić.

Z drugiej jednak strony rozbiory unicestwiły Rzeczpospolitą wtedy, gdy właśnie udowodniła, że jest w stanie modernizować się skutecznie. Konstytucja 3 maja przeraziła mocarstwa zaborcze nie tylko dlatego, że dość szybko dał się odczuć w Polsce duch rewolucyjnej Francji – taki przynajmniej był ton absolutystycznej propagandy (tej samej, która gdy była taka potrzeba, po sprawie toruńskiej w 1724 r. trąbiła o tym, że Berlin czy Petersburg to gwaranci idei tolerancji – doprawdy, carstwo rosyjskie jako gwarant humanizmu i tolerancji to piękna myśl!). Ale w rzeczywistości chodziło o coś więcej – o projekt unowocześnienia kraju potencjalnie silnego. Sam projekt podniesienia liczebności armii do stu tysięcy (i tak skromny, jeśli się pamięta, że za lat kilkanaście Księstwo

Warszawskie, dużo mniejsze od Polski w granicach z 1791 r., wystawiło taką armię), zaniepokoił sąsiednie dwory, nie mówiąc choćby o projektach reformy miast i finansów, o czym przestraszony ambasador pruski donosił Fryderykowi Wilhelmowi II w Berlinie. Zagłada państwa polskiego została uknuta przez Berlin, Petersburg i Wiedeń jako akcja prewencyjna. Nie można było czekać – zwłaszcza w Berlinie – na to, że wzmocniona Polska, kraj z nowoczesną konstytucją, rozwijającymi się miastami i dwustu-, a może trzystutysięczną armią przypomni sobie o Gdańsku, Bydgoszczy i Elblągu. Dla Rosji silna Polska oznaczała wypchnięcie z polityki europejskiej. Dla Prus była to kwestia być albo nie być. Rzeczpospolita została zniszczona, bo udowodniła, że może być silna i nowoczesna. To dlatego – żeby zatrzeć w pamięci Europy ten fakt, historycy niemieccy i rosyjscy napisali w wieku XIX stopy uczonych rozpraw, że dawna Polska nie była zdolna do istnienia, że w gruncie rzeczy dobrze się stało, że państwa rozbiorowe dokonały może surowej, ale sprawiedliwej egzekucji wyroku wydanego przez ducha dziejów. Jeśli już, to pierwszy rozbiór rzeczywiście był karą za tępotę i słabość trzech pokoleń epoki saskiej. Ale drugi i trzeci rozbiór były już zbrodnią. Pierwszy rozbiór spadł bowiem na państwo nie tylko słabe, lecz także intelektualnie bezradne i cywilizacyjnie zapóźnione. Wprawdzie cały czas dość było w nim szczerego patriotyzmu na dawną, republikańską modłę – czego dowiodła wcześniej konfederacja barska, ale sam republikański zapał to było zbyt mało. Jednak już w konfederacji barskiej miesza się stare z nowym – z jednej strony ryngrafy z Matką Boską, z drugiej – zapytania wysyłane do Jana Jakuba Rousseau przez Michała Wielhorskiego o sposoby reformy ustroju Rzeczpospolitej.

Tymczasem drugi i trzeci rozbiór brutalnie przerwał proces formowania się nie tylko nowoczesnego państwa, lecz także powstawania nowoczesnego narodu politycznego. Było to owocem wytężonej pracy

epoki stanisławowskiej, reformy edukacji – Komisji Edukacji Narodowej, Szkoły Rycerskiej, ożywienia intelektualnego i gwałtownego rozwoju rodzimej wersji oświecenia. Podkreślić właśnie trzeba – *rodzimej*. Polskie oświecenie jest o tyle szczególne, że łączy wszystkie wątki charakterystyczne dla europejskiej myśli oświeceniowej z cechami szczególnymi. Specyfika sprowadza się do kilku istotnych elementów. Chodzi o jego republikański charakter – jak ukazała to w swojej znakomitej pracy Anna Grześkowiak-Krwawicz[5]. Republikański charakter polskiego oświecenia wiąże się z kolejnym elementem – jego wymiarem obywatelskim. Za Jürgenem Habermasem zwykło się podkreślać, że nowoczesność zrodziła się wraz z narodzinami publicznej sfery komunikacji. Istotą tej obserwacji jest prosta konstatacja – nowoczesna opinia publiczna w wieku XVIII rodziła się w krajach absolutystycznych. Ona musiała sobie wywalczyć prawo do istnienia gdzieś między sferą prywatną a sferą państwa rozumianego jako domena państwowej biurokracji, podlegającej absolutnemu władcy. Stąd rola salonu, kawiarni, stąd walka z cenzuralnymi ograniczeniami. Polski dyskurs obywatelski – żywioł, w którym w drugiej połowie XVIII wieku powstawało nowoczesne pojęcie narodu polskiego, funkcjonował odmiennie. Tu zawsze było więcej swobody, tutaj nie trzeba było szeptać na salonach czy drukować politycznych pamfletów za granicą. Tu były sejmy, sejmiki, tutaj od XVI wieku pamflet polityczny czy rozmowa na tematy polityczne w każdym miejscu i o każdym czasie stanowiły oczywisty element życia zbiorowego – i dlatego uwagi Kitowicza na temat wyczynów Repnina na sejmach, są wyrazem oburzenia; polski autor skandalem nazywa tam ograniczenie praw Polaków, które w latach 60. XVIII wieku stanowiły nieosiągalne marzenie dla oświeconego Francuza. Naturalnie dotyczyło to wcześniej szlachty, jako narodu politycznego, ale właśnie w czasach stanisławowskich naród polityczny zaczyna rozszerzać się na mieszczaństwo (pisał o tym choćby Władysław Smoleński) i zarazem wzbogaca się o nowy element: rodzącą się inteligencję, jak pokazuje to

Maciej Janowski w pierwszym tomie najnowszej historii inteligencji polskiej[6]. Powstanie kościuszkowskie ukazuje siłę tego procesu – walczą w nim absolwenci Szkoły Rycerskiej, literaci stanisławowscy, chłopci spod Krakowa i rzemieślnicy z warszawskiego Starego Miasta. Kościuszko zaś nie zawiązuje konfederacji w duchu dawnego republikanizmu, lecz ogłasza „insurekcję”, przysięgając na rynku w Krakowie w marcu 1794 r. „Narodowi Polskiemu”, że powierzonej władzy „na niczyj prywatny ucisk” nie użyje, lecz dla obrony „całości granic, odzyskania samowładności Narodu” oraz „ugruntowania powszechnej wolności”.

Polski kształt Oświecenia

Warto te rzeczy przypomnieć dlatego, że katastrofa trzeciego rozbioru spowodowała u Polaków rodzaj kompleksu – zacofanie to przecież sprawa wstydliva, a rozbiory były właśnie konsekwencją zacofania. Jednak powtórzmy to jeszcze raz: drugi i trzeci rozbiór to akty prewencyjne, zapobiegające groźnemu dla ich autorów odrodzeniu podmiotowości Polski. Szkoła krakowska – wielka tradycja historiograficzna upatrująca przyczyny upadku Rzeczypospolitej w wadliwym ustroju, tworzona przez Waleriana Kalinkę, Michała Bobrzyńskiego, Józefa Szujskiego – ma zatem rację raczej w odniesieniu do pierwszego rozbioru. Jej konkurentka, szkoła warszawska, z takimi nazwiskami jak Władysław Smoleński, Tadeusz Korzon czy Adolf Pawiński, która twierdziła, że oprócz państwa ważnym podmiotem dziejów jest nowoczesny naród i że proces jego powstawania został tylko wyhamowany, lecz nie przerwany przez agresywnych zaborców, ma rację w przypadku roku 1792 i 1795. Co więcej – warto dostrzec, że Polska nie przegrała wtedy z narodami, których dystynktywną cechą była *nowoczesność*. Naszymi wrogami nie była bowiem ani Francja, ani

tym bardziej Anglia, lecz trzy feudalne mocarstwa ze wschodniej części kontynentu, leżące przecież na wschód od „linii Łaby”, wyznaczającej granicę między proto-kapitalistycznym zachodem a zacofanym, rolniczym wschodem, linii z taką lubością przywoływaną w czasach PRL jako dowód na poślednią rolę naszego kraju w historii nowożytnej Europy. Berlin, Wiedeń i Petersburg też leżały „na wschód od Łaby”. Tak, kwitły tam sztuki i nauki, ale jako dodatki do absolutystycznych dworów. Nowoczesnego poczucia obywatelskiej wspólnoty, łączącej ludzi różnych stanów, było w Polsce Tadeusza Kościuszki, Jana Kilińskiego, Bartosza Głowackiego czy Stanisława Staszica więcej, niż w Prusach Wschodnich Immanuela Kanta czy w Sankt Petersburgu Woltera i de Maistre’a. Czego zatem brakowało Polsce? Pieniądzy i armii – dwóch rzeczy, których nie brakowało absolutystycznym władcom. Nowoczesne państwo, jako biurokratyczna struktura służąca do wyciskania podatków i wydawania ich na aparat przymusu i przemocy, działający zgodnie ze strategią opracowaną wedle reguł racji stanu przez centrum decyzyjne – oto rozstrzygająca różnica pomiędzy Rzeczpospolitą a jej sąsiadami. W pierwszym momencie, kiedy zorientowali się oni, że Polska może mieć taką samą strukturę wzmocnioną o element, którego tam brakowało – nowoczesny naród polityczny świadomy swej tożsamości i politycznych celów, skutecznie uderzyli, eliminując przyszłe, niechybne zagrożenie dla własnych interesów.

Można czasem usłyszeć, że Konstytucja 3 maja nie była tak nowoczesna, jak wielkie projekty fundujące ducha demokratycznej i liberalnej nowoczesności – amerykański i francuski. Chodzi o to, że brakuje polskiej konstytucji elementu uniwersalnych praw człowieka, obecnego zarówno w amerykańskiej Deklaracji niepodległości z 1776 r., jak i we francuskiej Deklaracji praw człowieka i obywatela z 1789 r. To prawda, nasza konstytucja pozostawia stanowe społeczeństwo,

wyraźnie stwierdzając, iż narodem politycznym we właściwym tego słowa znaczeniu jest szlachta (a i to szlachta-posesjonaci: konstytucja faktycznie odsuwała od polityki szlachtę nieposiadającą własnych majątków). Jednak rozszerzała prawa miast królewskich, wspominała także o chłopach-włościanach. Nie były to rozwiązania liberalne, a jednak poprzez wyraźne określenie zasad konstrukcji ustrojowej wzmacniającej władzę wykonawczą stwarzała mechanizm dla stopniowej reformy państwa w duchu konstytucjonalizmu (to też jeden z korzeni nowoczesnej tradycji demokratyczno-liberalnej) oraz do modernizacji struktury społecznej, do jej przyszłej demokratyzacji. Konstytucja podkreślała przy tym – jak najbardziej w zgodzie z duchem nowoczesności – znaczenie majątku osobistego dla zdolności uczestnictwa w narodzie. Zarówno bowiem w stanie szlacheckim, jak i wśród mieszczan prawa miały przysługiwać właśnie posiadaczom majątków. Liczba obywateli czynnych politycznie, nawet po odjęciu praw politycznych szlachcie-gołocie i tak przewyższała grupę aktywnych obywateli na przykład w liberalnej Anglii (powszechną demokrację próbowali wprowadzić jakobini w 1792 r., jednak próba ta nie powiodła się, tak jak cały ich radykalny projekt rewolucyjny).

Należy jednocześnie pamiętać, że uniwersalne prawa deklarowane przez Amerykanów czy Francuzów operowały w ściśle określonych granicach – nie dotyczyły bowiem niewolników. Zarówno na plantacjach południowych stanów amerykańskich, jak i we francuskich koloniach, czarni niewolnicy nie byli adresatami idei powszechnych praw człowieka. Aby stali się wolni, potrzeba było w przypadku Stanów Zjednoczonych krwawej wojny domowej. Casus Francji był bardziej skomplikowany – wprowadzie w 1794 r. rząd republiki zakazał handlu niewolnikami i zniósł samą instytucję niewolnictwa, jednak Napoleon przywrócił ją w 1803 r. Faktyczną wolność wywalczyli sobie niewolnicy na Haiti, którzy zbuntowali się w 1791 r. (niepodległość uzyskali w 1804

r.). W koloniach francuskich zniesiono ostatecznie niewolnictwo w 1848 r., w angielskich wcześniej, bo w 1833 r. Położenie chłopów pańszczyźnianych w Polsce końca XVIII wieku było złe, jednak i tak było lepsze od sytuacji niewolników. Można założyć, że gdyby Rzeczpospolita istniała dalej, to sytuacja prawna chłopów poprawiłaby się dużo szybciej, niż miało to miejsce w przypadku regulacji wydawanych przez zaborców – dotyczy to przede wszystkim zaboru rosyjskiego, gdzie cała sprawa przeciągnęła się aż do lat sześćdziesiątych XIX wieku. Jak szybki byłby to prawdopodobnie proces, widać już w wydarzeniach z przełomu XVIII i XIX wieku. Konstytucja z 1791 r. brała chłopów pod opiekę państwa. Uniwersał połaniecki Kościuszki z 1794 r. zapewniał im wolność osobistą. W trakcie powstania Kołłątaj pracował nad projektem ustawy nadającej ziemię tym spośród włościan, którzy walczyli w armii narodowej.

Duch oświeceniowego uniwersalizmu – choć niewyrażany wprost – był zatem i tak stale obecny w myśleniu o polityczności pokolenia przełomu XVIII i XIX wieku. Dość przeczytać preambułę do Ustawy Rządowej z 1791 r.: „Uznając, iż los nas wszystkich od ugruntowania i udoskonalenia konstytucji narodowej jedynie zawisł, długim doświadczeniem poznawszy zadawnione rządu naszego wady, a chcąc korzystać z pory, w jakiej się Europa znajduje i z tej dogorywającej chwili, która nas samym sobie wróciła, wolni od hańbiących obcej przemocy nakazów, ceniąc drożej nad życie, nad szczęśliwość osobistą, egzystencję polityczną, niepodległość zewnętrzną i wolność wewnętrzną narodu, którego los w ręce nasze jest powierzony, chcąc oraz na błogosławieństwo, na wdzięczność współczesnych i przyszłych pokoleń zasłużyć, mimo przeszkód, które w nas namiętności sprawować mogą, dla dobra powszechnego, dla ugruntowania wolności, dla ocalenia Ojczyzny naszej i jej granic, z największą stałością ducha niniejszą konstytucję uchwalamy i tę całkowicie za świętą, za

niewzruszoną deklarujemy, dopóki by naród w czasie prawem przepisany wyraźną wolą swoją nie uznał potrzeby odmienienia w niej jakiego artykułu”[7].

Polskie oświecenie wyróżniał także stosunek do religii. Rysem upodabniającym je do amerykańskiego i zarazem odróżniającym od francuskiego był brak pierwiastka silnego antyklerykalizmu. Konstytucja 3 maja zaczyna się od *Invocatio Dei*, religię katolicką ustanawia religią państwową i jednocześnie ogranicza dostęp do stanowisk ministerialnych dla dysydentów (zarazem deklaruje wolność wyznania, choć zabrania konwersji z katolicyzmu na inne religie i wyznania). Należy jednak pamiętać, że o Bogu mówi się także w amerykańskiej Deklaracji niepodległości. Polscy radykałowie po uchwaleniu własnej konstytucji udali się do stołecznej katedry św. Jana, lecz nie po to, aby ją zdemolować – co przydarzyło się paryskiej katedrze Notre Dame, której wewnątrz zniszczono, gdy w 1793 r. zamieniono ją na świątynię Rozumu – lecz po to, aby odśpiewać w niej uroczyste *Te Deum*.

Zanim zakończymy odniesienia do XVIII wieku, warto poczynić jeszcze jedną uwagę. Uderzające, że los Polski z tamtej epoki powtarza dzisiaj do pewnego stopnia Ukraina. Ten sąsiedni kraj leży z jednej strony między zimnym, egoistycznym racjonalizmem Zachodu, który opowiada sobie, że na Ukrainie jest chaos, że Ukraińcy nie potrafią sami załatwić swoich spraw, że niepodległa Ukraina nie pasuje do geopolitycznych konstrukcji, a z drugiej – despotycznym Wschodem. To prawda, nie ma dziś odpowiednika agresywnego, przebiegłego i bezwzględного Fryderyka Wielkiego. Ale zdepersonalizowana, zimna i egoistyczna struktura Zachodu, która potrafi rozumu używać tylko do tego, żeby na sto sposobów wytłumaczyć, że Ukraińcy nie potrafią, nie

zasługują na wejście do Europy, odgrywa w istocie podobną rolę. A na Wschodzie jest Rosja – jak zawsze despotyczna i zaborcza. To Ukraina znajduje się dzisiaj w punkcie, w którym my byliśmy w XVIII wieku – także od nas zależy, czy uniknie klęski, która stała się wtedy naszym udziałem.

Wyzwania współczesne

Powróćmy jednak do Polski i czasów współczesnych. Analogie z XVIII wiekiem nie mogą być naturalnie bezpośrednie. Nie grozi nam banalna i prosta powtórka z przeszłości – ani w postaci fizycznych rozbiorów, ani też w postaci totalnych, ludobójczych wojen, znanych nam z minionego stulecia. Nie znaczy to jednak, że znikł element podwyższonego ryzyka, trwale wpisany w nasze usytuowanie w czasie i przestrzeni. Zresztą prawdopodobieństwo wojny – szczególnie po tym, jak Rosja zaatakowała Gruzję, nie wydaje się już tak niewyobrażalne, jak jeszcze kilka lat temu. Nie byłaby to jednak wojna w ogromnej skali, z milionowymi armiami, tysiącami czołgów i trwałą brutalną okupacją, mającą na celu eksterminację lub zabór terytorium. Wyobraźmy sobie raczej nagły i krótki atak – w dwie doby rosyjskie wojska dochodzą do Nowego Dworu Mazowieckiego albo do Mińska Mazowieckiego, tam stają i zaczynają się dyplomatyczne targi. Rosyjski minister spraw zagranicznych jedzie do Brukseli albo do Berlina (Niemcy naturalnie od razu podjęły się misji rozjemczej), administracja amerykańska wszystko zarzuca nam (za słabo się broniliśmy i wszystko tak szybko się potoczyło, że nie ma sensu wysłać wojsk, a przy tym trzeba z Rosją współpracować w sprawie Iranu czy Afganistanu itd.), opinia publiczna w Europie wprawdzie wyraża oburzenie, ale też sporo jest głosów, że rusofobiczni Polacy również nie są bez winy, itd., itp. Cała sprawa nie kończy się ani aneksją Warmii i Mazur do Okręgu Kaliningradzkiego,

ani też na warszawskich ulicach nie pojawiają się rosyjskie napisy. Niby nic strasznego się nie dzieje, tylko wszystko jest jakoś inaczej. Do tego gaz zdrożał absurdalnie i paru ludzi o niewyparzonych językach musiało emigrować.

Prawdopodobieństwo takiego rozwoju wypadków jest ciągle bliskie zeru, ale już nie zerowe. Chodzi o to, aby zrozumieć względną słabość Polski – słabość militarną oraz słabość państwa jako struktury zapewniającej bezpieczeństwo. Kolejne rządy dyskutują nad reformą wojska, obiecują armię zawodową, posyłają żołnierzy na misje pokojowe i dalekie wojny – i tylko opinii publicznej brakuje wyraźnej świadomości, że Polska znajduje się w zupełnie innej sytuacji niż Portugalia, Belgia czy nawet Niemcy, bowiem graniczy z ostatnią realną dyktaturą na kontynencie – Białorusią Łukaszenki, która pozostaje w militarnym sojuszu z Putinowską Rosją, posiadającą tuż obok nas największą morsko--lądową bazę militarną świata, czyli Okręg Kaliningradzki. Naszym problemem w kwestiach bezpieczeństwa nie jest zatem przekształcanie armii w korpus ekspedycyjny zdolny do wypełniania zadań w ramach misji zagranicznych NATO, lecz posiadanie sił zbrojnych zdolnych do obrony własnego terytorium. To, co Hiszpanom czy Włochom wydaje się czystą abstrakcją, koniecznością znaną już tylko z podręczników historii, dla nas jest rzeczą absolutnie podstawową. Powtórzmy – czy po dwudziestu latach niepodległości sprawa ta jest jasna dla opinii publicznej i dla polityków? Chyba nie do końca – żeby się o tym przekonać wystarczy choćby pobieżny rzut oka na dyslokację polskich jednostek zmotoryzowanych i pancernych. Między Warszawą a Kaliningradem znajduje się tylko 16 Pomorska Dywizja Zmotoryzowana, rozrzucona pomiędzy Braniewem, Elblągiem a Giżyckiem. Między Warszawą a granicą białoruską nie ma zaś nic (dopiero w Wesołej pod Warszawą stacjonuje 1 Brygada Pancerna – nomen omen im. T. Kościuszki; nb.

obecny rząd wspominał o ewentualnych planach jej likwidacji). Gros sił stacjonuje, tak jak w czasach PRL, nad zachodnią granicą – w pasie strategicznego rozwinięcia wojsk Układu Warszawskiego, dokładnie jak za czasów, gdy myślano w Moskwie o ataku na kapitalistyczny zachód. Kiedy wszyscy cieszą się z zapowiedzi wprowadzenia armii zawodowej – bo to takie nowoczesne i poboru już nie będzie, jedyne głosy krytyczne dotyczą kosztów. W debatach nie pada zbyt często podstawowa kwestia – armię dopasowuje się do istniejących zagrożeń, a nie do abstrakcyjnych norm nowoczesności. Gdy przyjdzie moment realnej próby – oby nie przyszedł nigdy – będziemy, jak zawsze zresztą, mogli liczyć tylko na siebie, będziemy musieli bronić się przez kilka dni sami, aby dać dogodną pozycję dla dyplomatycznych targów naszym sojusznikom lub aby zmusić Amerykę do udzielenia choćby symbolicznej pomocy. Bo z pewnością nie mamy co liczyć na bohaterskie czyny belgijskich czołgistów pod Olsztynem albo portugalskich spadochroniarzy pod Ciechanowem czy Mławą (niemiecka armia w najlepszym razie podejmie się funkcji rozjemczych na linii zawieszenia broni, kiedy będzie już po wszystkim). Armia gruzińska w 2008 r. walczyła faktycznie tylko dobę, może trochę dłużej, potem po prostu porzuciła stanowiska i to, co z niej zostało przyczało się w stolicy, czekając zmiłowania świata. Dlaczego zatem w polskich debatach nie pojawia się z całą mocą postulat uzupełnienia projektu budowy armii zawodowej o komponent silnych wojsk obrony terytorialnej kraju, wojsk – co trzeba dodać – cały czas korzystających z masowego przeszkolenia obywateli? Te sprawy nie powinny zajmować tylko fachowców, ekspertów od spraw militarnych, lecz powinny być elementem wiedzy uczestników szeroko rozumianych debat publicznych. Po prostu tego wymaga nasze usytuowanie w czasie i przestrzeni. Od kosztów uzawodowienia armii ważniejszym tematem wydaje się oszacowanie kosztów przeniesienia choćby dwóch brygad

kawalerii pancernej na Podlasie lub Mazury, zbudowania tam koszar, domów dla kadry, parków technicznych itd. To sprawa o kluczowym znaczeniu w naszych warunkach.

Bezpieczeństwo zewnętrzne to sprawa fundamentalna, jednak nie wyczerpuje ono kwestii podmiotowości. Jak zostało już wcześniej powiedziane, choć prawdopodobieństwo zbrojnego konfliktu

w przyszłości nie jest już niewyobrażalne, to jednak ciągle nie ono stanowi podstawowe wyzwanie, przed jakim stoimy. Podmiotowość należy rozumieć szerzej i odnosić do stanu państwa i narodu w konkretnych okolicznościach, a więc przede wszystkim w czasach narastającego, globalnego kryzysu finansowego i gospodarczego, kryzysu dotychczasowego modelu integracji europejskiej oraz zachodnich struktur bezpieczeństwa. Pamiętać przy tym należy o pierwotnym znaczeniu pojęcia kryzysu – Grecy używali czasownika *krino* w znaczeniu ‘dzielić, wybierać, decydować, osądzać’; w zwrotnej wersji zaś ‘mierzyć się, walczyć z czymś’. Kryzys zatem to tyle, co nieodwołalne, ostateczne rozstrzygnięcie. W Hipokratejskiej szkole medycznej mówiono o krytycznej fazie choroby, w trakcie której toczyła się rozstrzygająca walka między życiem i śmiercią[8]. Kryzys jest zatem zagrożeniem, ale i szansą, oznacza zachwianie się dotychczasowego stanu rzeczy, ale też otwiera perspektywy dla nowego ładu. Podmiotowość pozwala obronić się przed zagrożeniami i jednocześnie dostarcza instrumentów niezbędnych dla wykorzystania szansy. Słabi i niezdolni do odgrywania podmiotowej roli na kryzysie tracą. Silni wygrają, zajmując lepsze pozycje w nowym, wyłaniającym się dopiero z kryzysu, porządku.

Powróćmy zatem na koniec do naszego punktu wyjścia, do Połtawy i 1709 roku. Współczesne pokolenie Polaków stanęło przed szansą zamknięcia na zawsze karty dziejowej, która została rozpoczęta dokładnie trzysta lat temu. Chodzi o odzyskanie przez Polskę realnej podmiotowości, utraconej na początku XVIII wieku. W 1989 r. odzyskaliśmy – jak się nam zdaje na trwałe – niepodległość. Wierzimy, że przekreślając ostatecznie przekleństwo rozbiorów – cel, który nie powiódł się pokoleniu II Rzeczypospolitej, zmiażdżonej przez dwa totalitaryzmy, daliśmy trwałe podstawy dla przyszłości naszego kraju. A jednak odzyskanie formalnej niepodległości to nie koniec wysiłku, lecz tylko pierwszy krok, który musi być uzupełniony o krok następny – o podmiotowość właśnie. Chodzi o odwrócenie logiki XVIII wieku. Z premedytacją nie mówię przy tym o suwerenności, bo to słowo jest dziś również cokolwiek dwuznaczne; mówi się, że państwa, które wchodzą w skład skomplikowanych struktur międzynarodowych nie mogą być suwerenne w ten sposób, w jaki suwerenne były państwa wchodzące w skład systemu, który istniał po 1648 r., tzw. systemu westfalskiego. Dodatkowo suwerenność jest pojęciem prawnym, określa formalne ramy funkcjonowania państwa. Tymczasem idzie o to, aby formalną suwerenność napełnić faktyczną, realną treścią polityczności. Samo posiadanie państwa, które jest tylko niepodległe, nie rozwiązuje problemu. Oznacza to bowiem powrót do stanu rzeczy, który istniał także w momencie rozbiorów. Jak pokazuje przykład pokolenia Sejmu Wielkiego, Królestwa Kongresowego, warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, można reformować kraj nawet nie posiadając państwa. Tylko że owoce tych reform bez posiadania podmiotowości zawsze są zmarnowane. Podmiotowość można zachować będąc również członkiem Unii Europejskiej czy wspólnoty atlantyckiej, jeżeli się umie grać, jak mówi prof. Jadwiga Staniszkis, w sferze rzeczywistości

„sieciowej”. Ale ona musi zostać utrzymana, żeby modernizacja i nowoczesność służyły celom polskim. W przeciwnym razie to wszystko, co jest procesem cywilizacyjnym, będzie obsługiwało obce cele.

Kluczowe wydaje się tutaj pojęcie modernizacji. Sens lekcji XVIII wieku sprowadza się do tego, że umiejętność przyswajania nowoczesności rozstrzyga o przyszłości wspólnoty politycznej usytuowanej w czasie i przestrzeni w taki właśnie sposób, jak Polska. W Polsce od trzech wieków toczy się – by przywołać tytuł głośnej swego czasu książki Jerzego Jedlickiego – dyskusja poszukująca odpowiedzi na pytanie: jakiej cywilizacji potrzebują Polacy? Spór o nowoczesność w polskich warunkach nie sprowadza się jednak tylko do dyskusji o meandrach procesów cywilizacyjnych. To nie jest dyskusja ekspertów – to jest dyskusja *obywateli*. Wyzwanie modernizacji nieuchronnie posiada bowiem w naszych warunkach – znów: pamiętajmy o czasie i przestrzeni – wymiar obywatelski, wymiar polityczny. Jan Pietrzak śpiewał w okresie pierwszej „Solidarności” piosenkę „Żeby Polska była Polską...”, piosenkę, która pełniła wtedy funkcję niemalże drugiego hymnu narodowego. Parafrazując jej słowa, można powiedzieć, że stawką polskich sporów o nowoczesność jest właśnie ten na pozór enigmatyczny i niejasny cel: żeby Polska była Polską. Co to znaczy? W tej wieloznacznej na pozór frazie zawiera się marzenie o Polsce silnej, zasobnej, niepodległej, kraju, który jest w stanie zaktualizować swój ukryty i niewykorzystany potencjał.

Polacy muszą stworzyć silne państwo, żeby Polska już nigdy nie była „Chrystusem narodów”. Nam się cierpienia znudziły i nie potrzebujemy ich już więcej. Piłsudskiego projekt Polski silnej rodził się nie tyle z buntu przeciwko naszemu mazgajstwu, ile raczej przeciwko skandalowi, jakim jest polska słabość. Bo słabość Polski przez te

ostatnie dwieście lat jest z tej perspektywy skandalem, z powodu którego każdego dobrego Polaka powinien trafiać szlag. Nie trzeba bowiem aż tak wiele, aby zaktualizować, używając arystotelesowskich określeń, polski potencjał, bo potencjalnie Polacy są sporym narodem. Tylko – żeby inaczej użyć tego określenia o przytrzymaniu mocy – zaktualizować tego nie potrafią. I w każdym kolejnym pokoleniu kłócimy się o to, dlaczego Polska funkcjonuje poniżej swoich możliwości. To jest jedna z przyczyn, która stale powraca w polskich sporach i która popycha nas do zajmowania stanowisk w sprawach publicznych.

Polski problem polega na tym, że nie umiemy przytrzymać mocy. Działa w nas zawsze republikańska dialektyka: jesteśmy w stanie zbudować wspaniałe konfederacje, które zwalczą zakusy budowy *absolutum dominium* albo przeciwstawiają się wrogowi, który nam zagraża, ale zaraz potem rozjeżdżamy się do domów. Chwile obywatelskiej mobilizacji są krótkie. I nie potrafimy zbudować mechanizmów państwowych, które wytrwale pracują przez pokolenia. Takich, jakie zostały zbudowane w zachodnich społeczeństwach na fundamentach położonych przez reżimy absolutystyczne i później przez XIX-wieczną demokrację liberalną. Jak przytrzymać moc? Z premedytacją używam tego nieco nieprecyzyjnego słowa, żeby nie używać słowa „siła”, które w polskim języku jest dwuznaczne, bo odwołuje się także do *prze-mocy*. Nie chodzi o to, żeby nad kimś dominować czy koncentrować się na środkach przemocy fizycznej. Warunkiem rozwoju polskiej cywilizacji jest to, żeby polskie państwo i polska gospodarka były mocne. Bo tak jesteśmy usytuowani w czasie i przestrzeni, że przy braku mocnego państwa i silnej gospodarki, najpierw nie mamy państwa, a potem nie mamy też cywilizacji. I za polskie podatki, wypracowane w polskiej gospodarce, przez kilka

pokoleń buduje się gmachy publiczne w Petersburgu czy Berlinie – jak w XIX wieku, a w Warszawie w tym samym czasie nie można założyć choćby towarzystwa wioślarskiego.

Obecny kryzys finansowy ukazuje w całej jaskrawości właśnie gospodarczy i cywilizacyjny wymiar podmiotowości. Spekulacyjne ataki na złotówkę prowadzone przez takie giganty, jak nowojorski bank Goldman Sachs, drastyczne ograniczanie kredytowania krajowego biznesu przez lokalne oddziały zachodnich banków spowodowane poleceniami wydawanymi przez centrale w Londynie czy Brukseli, znaczące zwiększenie dywidend wypracowanych tutaj, a transferowanych na zachód, protekcyjnistyczne pomysły ogłaszane w Paryżu, a wymierzone na przykład w polski przemysł motoryzacyjny – wszystkie te nowe wydarzenia są wielką lekcją podmiotowości dla nowej klasy średniej, która pojawiła się w Polsce po 1989 r. i która z neoficką żarliwością uwierzyła w reguły globalnego kapitalizmu. Wolny, globalny rynek to sfera rywalizacji, w której sprawne państwo stanowi instrument o zasadniczym znaczeniu dla ochrony interesów gospodarczych. Można mieć wszystkie atrybuty niepodległego państwa – ambasady, armię (nie za silną), ministerstwa i znaczki pocztowe, a w momencie kryzysu energetycznego trzeba ogrzewać lotnisko w stolicy kraju koksownikami albo zamykać szkoły, jak przydarzyło się to ostatnio Bułgarii; można przez lata czerpać korzyści z nadymanego coraz bardziej balonu finansowych spekulacji, a jednak prędzej czy później taki kraj dopada widmo bankructwa – jak przydarzyło się to ostatnio Islandii. Kilka lat temu wymowni apostołowie deregulacji wszystkiego co się da i neoliberalizowania totalnego za wzór dla Polski stawiali bałtyckie tygrysy. Gdzie dzisiaj jest Łotwa? Aby uniknąć takiego losu potrzeba właśnie podmiotowości

– silnego państwa, konkurencyjnej gospodarki, sprawnej armii, zręcznej dyplomacji i świadomych rzeczywistości środowisk opiniotwórczych – mediów, świata nauki i ekspertów.

Wykorzystać szansę

Powie ktoś – bagatela! W polskich warunkach to marzenie ściętej głowy. Jak gospodarka mocna, to państwo słabe, do słabej armii i marnej dyplomacji dodać trzeba opinię publiczną, która zawsze pochłonięta jest drugorzędnymi tematami i media, które zrezygnowały dobrowolnie z rozumu, zawsze gotowe walkę o „pierwiastek” nazwać „potrząśaniem szabelką”, za to teatralną, rozpaczliwą próbę zablokowania Eriki Steinbach przez Władysława Bartoszewskiego, próbę, która stanowi przyznanie się do faktycznej porażki w sporze z Niemcami, odtrąbiły jako „wielki sukces”.

Stąd są także u nas rozsądni ludzie, którzy to wszystko widzą, ale wnioski wyciągają zupełnie odmienne – Polski po prostu nie stać na podmiotowość. Nasze usytuowanie w czasie i przestrzeni to przekleństwo, a nie szansa i wyzwanie – przekonało się o tym najlepsze pokolenie, jakie istniało w historii Polski – pokolenie Piłsudskiego, które zbudowało II RP i wychowane przez nich pokolenie Kolumbów – generacja Armii Krajowej i Powstania Warszawskiego. Takie wysiłki koniec końców idą na marne, więc lepiej schować się w mysiej dziurze, przeczekać, zyskać na czasie, cieszyć się z rzeczy małych – choćby z tego, że ciepła woda leci z kranu, jak proponował nie tak dawno „Dziennik”. Problem w tym, że Polska – o czym była już mowa – nie może zachowywać się tak, jak małe kraje. Polska nie zmieści się w mysiej dziurze, bo po prostu jest za duża; może wprawdzie jak struś

schować głowę w piasek, ale potencjalny drapieżca i tak ją wypatrzy, bo całą resztę będzie doskonale widać. Zresztą po co w zasadzie mamy zyskać na czasie? Po co mamy porzucić myśl o budowie podmiotowości? Czyżby za dwadzieścia lat nastał świat bez zagrożeń? Wolne żarty. Prędzej za dwadzieścia lat okaże się, że wtedy właśnie zemszczą się zaniechania dzisiejsze. Z drugiej strony jest także wielu, którzy uważają, że nie sposób pogodzić „mocy” z wolnością, tych, którzy sądzą, że każdy projekt budowy realnej podmiotowości zagraża idei demokracji i praw człowieka. Konfederacka, republikańska natura naszego patriotyzmu to tyleż błogosławieństwo, co przekleństwo. W czasach *zagrożeń* jest ona źródłem gotowości do poświęceń na skalę nieznaną innym narodom; w czasach reformy, w czasach kiedy trzeba wykorzystać *szansę*, staje się przeszkodą, bo wszędzie wietrzy groźbę *absolutum dominium*. Stąd niechęć do zdecydowanego, konsekwentnego działania. Wystarczy przypomnieć sobie zdziwienie pomieszane ze złością, jakie wywołał Jarosław Marek Rymkiewicz swoją intelektualną prowokacją – tomem *Wieszanie* – aby zrozumieć, że to postawa ciągle niestety u nas żywa.

Wszystkie nasze wielkie spory po 1989 r. – spory o lustrację, o stosunek do PRL, o transformację – powinny być widziane właśnie w tej perspektywie. Dlatego, że spór o modernizację jest sporem o to, jak zbudować Polskę zamożną, cywilizacyjnie rozwiniętą – to jest oczywiste. Ale ukrytym, podświadomym fundamentem tych wszystkich sporów jest przekonanie o tym, że Polacy powinni tak zbudować swoje niepodległe państwo, aby rozwiązać problem, którego od 1709 r. nie potrafiło rozwiązać żadne polskie pokolenie. Nawet mogące pochwalić się największym sukcesem pokolenie II RP, czyli pokolenie Dmowskiego i Piłsudskiego, zbudowało niepodległe państwo, które przetrwało tylko dwie dekady. Jak przywrócić Polsce wewnętrzną moc i pozycję pozwalającą na bezpieczny rozwój w przyszłości? Jest to pytanie palące,

bowiem w zakamarkach rozumu każdego przytomnego Polaka tkwi pytanie: „ile mamy jeszcze czasu?”. I to jest pytanie, które zadaje sobie każde kolejne pokolenie od XVIII wieku. „Czy zostało nam jeszcze 10 lat, 20 czy 50, czy zostało nam jedno pokolenie, dwa czy trzy?”. Bo nauką, jaką Polacy wyciągnęli z tego, co się dzieje od 1709 r., jest świadomość, że w tym czasie i przestrzeni historia prędzej czy później organizuje sesję egzaminacyjną i odpytuje z tego, co zostało nauczone. Biada tym, którzy lekcji nie odrobili. Być może to jest polski fatalizm, być może to jest polska przesada, ale jest to jeden z podstawowych elementów myślenia Polaków o polityce i historii.

I to jest ukryta dynamika naszego sporu po 1989 r. Bo z jednej strony są ludzie, którzy uważają, że po 1989 r. uzyskaliśmy wszystko, co można było, gdyż mamy instytucje niepodległego państwa. Z drugiej strony są ci, którzy od wojny na górze mówili, że potrzebne jest przyspieszenie, drugi krok – to w różnych momentach różnie jest nazywane – zakładający, że niepodległość to konieczny pierwszy krok, który musi być uzupełniony o krok kolejny. Zdawało się po aferze Rywina, że spór ten został rozstrzygnięty na rzecz działania. Wybory 2005 r. przyniosły zwycięstwo sił politycznych, które zapowiadały działanie na rzecz budowy realnej podmiotowości. A jednak wszystkie nadzieje na faktyczną zmianę przepadły w szaleńczej mentalnej wojnie domowej „rokoszan” z „konfederatami”, bo tak można określić Platformę i PiS. Przepadł „pierwiastek”, przepadła „tarcza”, nastął kryzys, rozumiany znów – jak to u nas – jako zagrożenie, a nie szansa. A czas – ten czas, który na ogół nie jest dla nas zbyt łaskawy, nieubłaganie mija. Ile jeszcze go mamy?

Dariusz Gawin

Tekst ukazała się w 5. numerze Teologii Politycznej

- [1] A. Bobkowski, *Szkice piórkami*, Warszawa 1988, s. 425.
- [2] M. Hroch, *Małe narody Europy. Perspektywa historyczna*, przekład G. Pańko, Wrocław-Warszawa-Kraków 2003, s. 75 i n.
- [3] Lord Acton, *O narodzie*, [w:] tegoż, *Historia wolności. Wybór esejów*, wybór i wstęp P. Śpiewak, tłum. A. Branny, A. Gowin, P. Śpiewak, Kraków 1995, s. 105.
- [4] Najpełniejszą rekonstrukcję motywów mocarstw rozbiorowych dał w swej fundamentalnej pracy *Drugi rozbiór Polski* amerykański historyk Robert H. Lord (tłum. A. Jaraczewski, wstęp J. Łojek, Warszawa 1973).
- [5] A. Grześkowiak-Krwawicz, *Regina Libertas. Wolność w polskiej myśli politycznej XVIII wieku*, Gdańsk 2006.
- [6] *Dzieje inteligencji polskiej do roku 1918*, red. J. Jedlicki, cz. 1: M. Janowski, *Narodziny inteligencji (1750-1831)*, Warszawa 2008

[7] W. Witkowski, *Pierwsze konstytucje nowożytne*, Lublin 1995, s. 56.

[8] R. Koselleck, *Kilka problemów z dziejów pojęcia 'kryzys'*, [w:] *O kryzysie. Rozmowy w Castel Gandolfo*, przygotował i przedmową opatrzył K. Michalski, Warszawa 1990, s. 60.